

boczny tor nr 22

p i s m o c y k l i c z n e d l a n i e l i c z n y c h



[z cyklu: spis z natury]

dast

BYĆ MÓGŁEM

BANAN NA RYJU (SATYSFAKCJA)

Ja na pierwszym miejscu i na końcu ja.

WIEDZIEĆ I NIE WIEDZIEĆ

Czy wiem, czego chcę? Czy chcę?

DANE I ZABRANE

Niewiele, mało. Codziennie.

SUPERSAMIEC

Zapomniałem o sobie sam.

TO PRAWDA ZNANA NAM

Było, minęło. Wraca.

OSOBNÓ

Razem i zarazem.

WZAJEMNOŚĆ

Zwycięstwo szczegółu nad całością, złości nad ufnością, bólu zęba nad bólem bytu.

WYŻSZE WYKSZTAŁCENIE

I nie ma już pytań zasadniczych?

SUMIENIE

Czy tak, czy nie — spustoszenie.

NATURALNOŚĆ

Z natury jestem kulturalny.

PROMILE

W skali kraju nie mam źle. W skali mrówki jestem kolos.
W skali roku udało mi się prawie w stu procentach stracić czas.

PO PROSTU I JUŻ

Żyć bez pragnień. Czy to możliwe? To nie jest niemożliwe.
To jest nieludzkie.

KOMU POWIEDZIEĆ

Komu powiedzieć, nie mówiąc nikomu?

ELASTYCZNOŚĆ

Przecież nie mówię nie.

BYĆ MÓGŁEM

Gdybym mógł, byłbym mógł.

PAZNOKCIE

Są paznokcie, nie ma palców.

PIĄTEK TRZYNASTEGO

Czy są sytuacje bez wyjścia? Nie ma. I dlatego właśnie w nie wchodzę.

FALSTART NIEUDANY

Już na początku zrozumiałem, o co chodzi. A jednak idę dalej.

NIE- (RÓŻNICA POKOLEŃ)

Dla dziecka „nie” oznacza niezależność. Dla starca — niemoc.

CZEGO UCZY REKLAMA

Czego uczy nas reklama? Reklama uczy ładnie kłamać.

NA SKRÓTY

Szanuj zieleń, boś nie łoś.

CZAS GONI NAS

Szybko, szybciej, zapomniałem.

MIŁOŚĆ (MELODIA SŁÓW)

Miłość — słowo miło rokujące, lecz ściśnięte w finale.

LATO W MIEŚCIE (KUSE POKUSY)

Lato. Więc chodzę. Na jednej nodze.

WOKÓŁ MGŁA

Całość jest okrągła.

NAPIS NA ODWROCIE

Na odwrocie był napis: nie ma odwrotu.

TWARDE DO ZGRYZIENIA (PARADONTOZA)

Nie ma co. Nie ma czym.

ZAPLANUJ SWOJE JUTRO

Jutro...

MOJE OSIĄGNIĘCIA

Nastawiłem się źle i wyszło źle.

TERAZ

Teraz polecam się na przyszłość.

[z cyklu: przysłowia propolskie]

Wszędzie dobrze, ale w domu nie bądź prorok.

Mądrej głowie dość palką w leb.

Jeszcze się taki nie urodził, co nie umrze.

Naiwnych nie sieją, lecz orzą.

Kto rano wstaje, ten leje jak z cebra.

Lepiej późno, niż gorzej.

Komu czas, temu brak.

Jak nie staniesz, dostaniesz.

[z cyklu: zasłyszane]

WYWCZASY

Pole, parę drzewek... byłam załamana.

Ale zdjęcia wyszły świetnie.

Jeśli miałbym pisać książkę, by zakomunikować to, co myślałem, zanim zacząłem pisać, nie miałbym odwagi się tym zająć. Piszę tylko dlatego, że nie wiem zbyt dokładnie, co mam myśleć o tym, o czym chciałbym pomyśleć. [...] Jestem eksperymentatorem w tym sensie, że piszę, by się zmienić i nie myśleć już tego, co myślałem do tej pory. Michel Foucault

Od razu na wstępie zapowiadam, że w książce niniejszej, która jest zbiorem esejów, a nie naukową dysertacją, świadomie zrezygnowałem z przypisów (być może zatem czytelnicy rzeczywiście uwierzą, że są to eseje). Cytuję w niej — jak zawsze — bardzo dużo. Tym razem jednak nie podaję żadnych odsyłaczy i nawet nie wyjawiam źródeł bibliograficznych drukowanych już tekstów (choć stanowią one połowę książki). Znakiem przytaczania cudzych słów, z których — czego nigdy nie ukrywałem — ciasno utkane są moje teksty, pozostaje jedynie cudzysłów, którego częsta obecność nie powinna zniechęcać kogoś, kto wie, że nie ma tekstów oryginalnych (są jedynie teksty obsesyjne). Czytelnik musi mi wierzyć na słowo, że cytuję — o ile jest to w ogóle możliwe — wiernie, większość tekstów zresztą, jak powyższy ustęp z Foucaulta, w swoim tłumaczeniu.

Michał Paweł Markowski

POUR L'AUTRE, POUR MOI...

*Co ci się może zdarzyć tam, gdzie nic ci się nie przeciwstawia
i nic nie jest w stanie stać się twoją granicą?*

Witold Gombrowicz

Jeśli miałbym określić powód, dla którego zbieram te rozmaite teksty (niektóre drukowane już, inne specjalnie na tę okazję napisane, choć wszystkie specjalnie przysposobione do tego tomu) pod jedną okładką (i dlatego w ogóle je zbieram), powiedziałbym tak: dzięki nim, na wiele różnych sposobów, wieloma głosami, mogę wreszcie powiedzieć, czym jest dla mnie literatura. Nie: „czym jest literatura”, bo na takie pytanie nie znam odpowiedzi (wątpię, by znalazł ją ktokolwiek), ale „czym dla mnie literatura”. A więc: czym jest dla mnie pisanie i czytanie, bo do tego kwestia ta niewątpliwie się sprowadza. Wydaje mi się wprawdzie, że dotykałem jej w poprzednich moich książkach [...] nigdy jednak nie uczyniłem tego wprost, bezpośrednio i w mowie całkowicie niezależnej (choć żadna mowa nigdy nie jest niezależna). I na to więc przyszedł czas, aczkolwiek wiem — i piszę o tym często w tej książce — że czas nigdy nie przychodzi w porę.

Po lekturze pierwszego eseju (choć odnosi się to do wszystkich zamieszczonych tu tekstów) czytelnik łatwo spostrzeże, że literatura nie jest dla mnie (i nic na to nie poradzę) snuciem opowieści o naszych namietnościach, rekreacją mitu, opisywaniem wschodzącego słońca nad laguną, szukaniem nowych stosunków wyrazów, czy zabawianiem znudzonych. Jest natomiast czymś, co wymyka się jakimkolwiek gatunkowym lub tematycznym kategoriom i co z trudem — jeśli w ogóle — daje się wysłowić zarówno w słowach zwykłych, jak też w języku, którego uczy nas teoria literatury. Z braku lepszego określenia bardzo chętnie mówiłbym tu o doświadczeniu, mając na uwadze wszystko to, co kryje się w łacińskim słowie *experientia*, pochodzącym od czasownika *experior*, oznaczającego wystawianie na próbę, raczej ciągle ponawiane doznanie niż trwale poznanie. Zwróciłbym też uwagę na znaczenie wywłaszczającego i przemieniającego przedrostka *ex-*. Tak pisał o tym Derrida: „Lubię słowo «doświadczenie», którego źródło mówi coś o przekraczaniu; przekraczanie to wiąże się z ciałem, z przestrzenią, która nie jest dana zawczasu, lecz która otwiera się w trakcie postępowania”.

Jeśli więc mówię o literaturze jako wspólnym polu doświadczenia pisania i czytania, które to pole rozumiem szeroko, być może nadmiernie szeroko, to jasne jest, że mniej interesują mnie poszczególne teksty, co i jak mówią, czy są dziełem powieściopisarza czy filozofa, kobiety czy mężczyzny, starożytnego Greka czy nowoczesnego Francuza, bardziej zaś ciekawi mnie to, co je umożliwia, co sprawia, że pisanie i czytanie w ogóle są możliwe, co każe nam myśleć o czytaniu i pisaniu w kategoriach, które wyprzedzają wszelką empirię. Nie chodzi mi więc o pisanie i czytanie jako aktywności językowe, społeczne, kulturowe, historyczne, lecz o czytanie i pisanie jako akty — aż boję się to powiedzieć — metafizyczne, w których za każdym razem pojawia się najważniejsze pytanie: jak być sobą, skoro muszę poddać się temu, co ode mnie różne? Jak ochronić własną jednostkowość, skoro muszę się z nią dzielić z innymi? Tak o tym próbował pisać Blanchot w *L'Écriture du desastre*: „Pisać siebie [*s'écrire*: mowa jest o autobiografii] to przedstawiać istnieć, powierzając się komuś, kto cię odwiedza — innemu, czytelnikowi — czyje życie będzie się odtąd toczyć kosztem twojego nieistnienia”.

Wydaje mi się, że literatura jako przestrzeń, w której pytanie takie — pytanie o relację między piszącym a czytającym, pisarzem a tekstem, między mną a innym — stawiać się powinno, nie różni się zasadniczo od filozofii, dla której pytanie to, jeśli tylko zdecydujemy się porzucić grunt klasycznej ontologii, jest pytaniem pierwszym. I z tego to właśnie powodu, eseje zebrane w tej książce traktuję jako eseje filozoficzne. Uważam bowiem, że pisząc o literaturze tak, jak ją tutaj rozumiem, uprawiam jednocześnie filozofię, choć nie sądzę, by trzeba było do tego jakichś szczególnych uprawnień instytucjonalnych.

„Gdy pojawia się doświadczenie — powiada Derrida — pojawia się odniesienie do czegoś innego”. Tym właśnie jest dla mnie literatura: polem, w którym dzięki zetknięciu z własnym i cudzym tekstem wykraczamy poza siebie, w którym nie możemy nie odnieść się do czegoś innego (choćby własnego tekstu, żyjącego już własnym, niezależnym od nas życiem). Z drugiej jednak strony, w tym samym polu odnajdujemy, wzorem Stendhala, Nietzschego, Prousta i tylu innych, obietnicę szczęścia, zapowiedź odzyskanej czy tylko skonstruowanej tożsamości. Twierdzą bowiem, iż stawką doświadczenia literatury jest nie co innego, jak nasza tożsamość, to, co nas odróżnia od innych i co nas z nimi łączy. Literatura to nie tylko czytanie i pisanie tekstów, lecz przede wszystkim stojące u podstaw tych czynności doświadczenie przejścia, podróży, próby, przeniesienia, przekroczenia, doświadczenie mediacji, którego odwrotną stroną — jak u Nietzschego — jest tęsknota za światem uchwyconym bez zasłon. Doświadczenie to jest doświadczeniem *par excellence* filozoficznym, gdyż jego sferą najwłaściwszą jest transcendencja: świat, który wykracza poza mnie, świat, który mnie niepokoi, świat, który mnie kusi. To wszystko, co zmusza mnie do odpowiedzi.

„Nie maluję istoty, pisał Montaigne, ale przejście”. Podobnie i ja: jeśli zajmuję się literaturą, jeśli czytam i piszę książki, to właśnie dlatego, że pozwala mi to przekroczyć zamknięte koło, w którym czuję się w sobie w domu, ale też — z drugiej strony — pozwala mi być sobą, nawet jeśli nie wiem, co to znaczy. Dzięki temu dwuznacznemu położeniu mogę — jak sformułował to Lévinas — przekroczyć „obiektywizującą myśl przez zapomniane

doświadczenie, z którego myśl ta żyje”. Tym zapomnianym — przez filozofów — doświadczeniem jest właśnie w moim przekonaniu literatura: nie język, nie teksty, nie konwencje, nie prądy, ale czytanie i pisanie, które są dla mnie, jak powiedziałem, czynnościami metafizycznymi. Metafizycznymi w znaczeniu, jakiego używał Lévinas. „Pragnienie metafizyczne — pisał w *Całości i Nieskończoności* — zmierza do czegoś całkiem innego, do absolutnie innego”. Pisanie i czytanie to dla mnie inne nazwy pragnienia metafizycznego, którego nic nie jest w stanie ugasić, pragnienia, które nie wspiera się na braku, lecz — przeciwnie — rodzi się z poczucia nadmiaru. Pragnienie to nie ma swojego przedmiotu, który dałoby się ujawnić, nie ma celu, który dałoby się nazwać. Jego źródłem jest nieskończony dystans, który oddziela nas od Upragnionego. Dystans ten nie daje się żadnym sposobem skrócić i dlatego — znów Lévinas — „pragnienie nie może antycypować upragnionego, nie może go uprzednio pomyśleć, lecz zmierza do niego po omacku, jak do czegoś absolutnie innego, nieprzewidywalnego”. Inność jest tym, co pojawia się niezaprogramowane, nieprzewidywalne, nieoczekiwane i co należy nazwać zdarzeniem lub przygodą. Metafizyk, powiada Lévinas, to ktoś, kto godząc się na przygodność tego, co się zdarza, usiłuje wytrwać w separacji, w oddzieleniu od tego, co inne od niego samego, a jednocześnie to ktoś, kto usiłuje nieustannie ku temu, co nie-własne, nie-swoje, cudze zmierzać. Oczywiście jest to dążenie sprzeczne, ale to właśnie owa sprzeczność określa nasze życie, nasze pisanie i czytanie lub — by rzecz określić dosadnie — pisanie i czytanie jako sposoby życia. Jak pisał w *Dzienniku* Gombrowicz, jeden z najbardziej przenikliwych polskich filozofów: „Nie mogę być sobą, a jednak chcę być sobą i muszę być sobą — oto antynomia, z tych nie dających się uładzić... i nie oczekujcie ode mnie lekarstw na nieuleczalne choroby”. Przyznaję, od jakiegoś czasu choruję nieuleczalnie na tę antynomię i tak właśnie — antynomicznie i metafizycznie — pojmuję literaturę. Nic na to nie poradzę, choć wiem, że moje wyznanie nie spotka się w wielu kręgach z laskawym przyjęciem. Powiem więc więcej: każde inne rozumienie literatury jest dla mnie nieskończenie wtórne i pozostawia mnie w doskonałej obojętności.

A przecież nie zawsze tak było. Gdy zaczynałem swoją przygodę z literaturą, jako jej czytelnik i wykładowca, wierzyłem święcie, że furtka do jej przybytku wykonana jest ze słów, że to w języku szukać należy do niej klucza i że to pięknie wyszykowane zdania czekają na tego, kto przestąpi jej próg. Czytałem wtedy z wypiekami na twarzy Valéry’ego, który wspominał wymianę zdań między Mallarmem i Degasem na temat pisania wierszy: Degas zwierzał się z tego, jak wiele ma pomysłów i idei, a Mallarmé spokojnie odpowiadał, że wiersze robi się ze słów, a nie z pomysłów. Tak właśnie myślałem: literatura to sprawa języka i lakonie przyglądałem się teoriom, w których moje lingwistyczne fantazje znajdowały niekłopotliwe potwierdzenie. Być może gdybym został poetą, moje życie potoczyłoby się inaczej. Nie zostałem nim jednak i dziś piszę teksty, w których, owszem, chcę, by się — jak mówi zaprzyjaźniony poeta — dużo działo w języku, ale jednocześnie mam świadomość, że ograniczając się do składania słów w sposób przez nikogo nieprzewidywany okrajalbym niesprawiedliwie pole możliwości doświadczenia. Doświadczenia, na którym bardzo mi zależy, a to dlatego, że od niego właśnie zależy to, kim jestem.

Jeśli więc w taki sposób rozumiem literaturę, to jasne jest, że w moim słowniku (a słownik ten jest równie dobry, jak każdy inny, o ile się w niego wierzy) nieobecne są takie kategorie, jak ekspresja, imitacja i autonomia. Literatura nie jest dla mnie wyrazem, gdyż wyrażanie zakłada uprzednio istniejącą trwałą substancję (świat, Ja), a to właśnie jest dla mnie najbardziej wątpliwe. Nie jest też dla mnie naśladowaniem czegośkolwiek, a to ze względu na inność świata i języka (która prowadzi do tego, że słowa tak naprawdę naśladować mogą tylko słowa, a teksty produkować tylko kolejne teksty). Nie jest też dla mnie sferą językowej autonomii, choć wiem, że między językiem a światem rozpościera się otchłań, którą pisarze bądź to usiłują zasypać, bądź to pogłębić, świadomi tego, że nijak tego rozziwu zlikwidować się nie da (jak pisał Barthes: „Ludzie nie przyjmują do wiadomości, że nie istnieje paralelizm między rzeczywistością a językiem i to wyparcie, może równie stare jak sam język, tworzy poprzez nieustanną krzątanie literaturę”). Wszystkie te modele literackie, uprawiane przez innych, im przynoszące satysfakcję i nadzieję, dla nich korzystne i zbawienne, mnie, jako się rzekło, nie dają nic, a co gorsza, sprowadzają na mnie nieprzewidywalną nudę. Podkreślam stanowczo: między tymi modelami (być może należałoby rzec: marzeniami) nie sposób zaprowadzić wartościującej hierarchii. Wystan Hugh Auden pisał kiedyś w esejju *O czytaniu*, że „choć nie należy mylić przyjemności, jaką daje nam dzieło sztuki, z innymi przyjemnościami [to] jest ona jednak zbliżona do wszystkich innych po prostu dzięki temu, że jest przyjemnością naszą, a nie czyjąś inną”. To samo mógłbym powiedzieć o uznawanych przez nas wszystkich koncepcjach literatury: są nasze, niczyje inne i choć można dostrzec w nich pewne regularności i pokrewieństwa (Gombrowicz przecież nie mówił: piszcie tak, żeby wiedział, czy pisał to Jan Błoński czy Włodzimierz Maciąg, ale: piszcie tak, żeby wiedział, czy pisał to brunet czy blondyn), to jednak pozostają tym, co sprawia nam, nie komu innemu przyjemność.

Nie wierzę więc — i jest to poważne wyznanie wiary kogoś, kto w swoim biogramie umieszcza między innymi nazwę „teoretyk literatury” — by jakakolwiek teoria literatury (a każdy z nas ma jakąś „teorię literatury”, którą się, najczęściej nieświadomie, intuicyjnie posługuje) mówiła nam o literaturze więcej niż o sobie samej. Wręcz przeciwnie: mówi nam ona przede wszystkim o sobie, o tęsknotach i upodobaniach swoich wyznawców i zakusach na rzeczywistość, którą stara się sprowadzić do zręcznej formuły, a której odmiennosc od innych, nie mniej poręcznych formuł, może być powodem, dla którego zechcemy się zająć jej autorem, choć nie powinna być pretekstem do analizowania, ile prawdy w sobie zawiera. Czy nie wkraczam tym samym na grząski grunt biografizmu? Ależ tak i dlatego książki tej nie będą czytać ci filozofowie, dla których myśl dziwnym trafem odrywa się od myślącego ciała i szybuje w pustej przestrzeni logicznych formuł, tak jak nie będą jej czytać ci, dla których czytanie i pisanie to udręka lub sposób — jak powiedziałby Montaigne, myślący o spędzaniu płodu — spędzania własnego czasu. Co nie jest biografią, pisał Stanisław Brzozowski, nie jest w ogóle. Zgadzałem się z nim i dlatego o literaturze, o pisaniu i czytaniu nie potrafię myśleć inaczej niż poprzez swoją własną bio-grafię, przez co rozumiem nie to, że czytanie i pisanie stanowi mój zawód (choć oczywiście także), lecz to, że właśnie w pisaniu i czytaniu rozgrywa się moja biografia,

że stawką pisania i czytania jest moja tożsamość, o której nie wiem co sądzić, której jeszcze nie znam, lecz której zarysy poznaję wraz z każdą przeczytaną, napisaną książką. Czy to, co się odsłania w każdej lekturze, to, co wylania się z każdą zapisaną stroną, da się kiedyś wyśłowić w pełni? Oczywiście nie i dlatego pisanie i czytanie, jak życie, którego są one poręczną figurą (ani zastępnikiem, ani rekompensatą, lecz figurą: kształtem, obliczem, zarysem), są tak fascynujące i dlatego tak trudno będzie kiedyś przestać pisać i czytać. To nieprawda, że prawdziwe życie jest gdzie indziej. Ono jest tu, teraz, gdy piszę te słowa i zastanawiam się, kto i dlaczego zechce je przeczytać. Bez wiary, że to nastąpi, że rozmowa, którą staram się ze wszystkich sił podtrzymywać, zmienia coś w świecie, który jest także moim światem, tak więc bez tej wiary, która wycelowana jest w to, co nieobecne, literatura byłaby jedynie nikomu niepotrzebnym pojedynkiem na miny albo rozpaczliwym pohukiwaniem w pustym lesie. Myśleć tak, a jednocześnie szanować to, co piszą inni: oto jest pytanie dla kogoś, kto — na dobre i na złe — utożsamił swoją biografię z literaturą.

Widać od razu, że wkraczamy tu na trudny, nieubity grunt moralności. Nie sądzę, by można było uniknąć tego przejścia, choć także nie wierzę, by było ono łatwe do zaakceptowania. Nie chodzi tu bynajmniej o tworzenie kodeksu postępowania, reguł pisania i czytania, z czym nader często myli się literaturę. Wręcz przeciwnie: literatura jest miejscem, w którym z definicji reguły takie nie obowiązują, co jednak nie otwiera — jak się najczęściej sądzi — pola absolutnej, nieskrępowanej dowolności, lecz umożliwia pojawienie się tego, co Lévinas i Derrida nazywają odpowiedzialnością. Odpowiedzialność bowiem pojawia się wówczas, gdy zawiodą reguły, gdy wkracza w nasze życie to, co nieprzewidywalne, gdy kruszy się dotąd stabilny gmach naszych przekonań. Odpowiedzieć w pełni można tylko na to, czego się wprzódy nie wiedziało, albowiem wiedza uniemożliwia decyzję, gdyż decyzja wiąże się z ryzykiem, które wszelką wiedzę redukuje do minimum. Gdybyśmy zawczasu potrafili rozstrzygnąć postawione pytanie, nie byłoby już ono pytaniem, lecz tylko przebraną odpowiedzią, która raz jeszcze umocniła nas w naszych wyborach. Wynika stąd, że w strukturę decyzji, która leży u podstaw odpowiedzialności wpisane jest nierozstrzygnięcie, które daje nam do myślenia, do pisania, do czytania. Gdybym z góry wiedział, czym jest książka, którą czytam, gdybym z góry wiedział, czym jest książka którą piszę, pisanie i czytanie nie byłoby — o czym marzę i czego doświadczam — nieprzewidywalnym zdarzeniem, z którym muszę sobie jakoś poradzić. Jeśli jest odwrotnie, jeśli wiem, co się zdarzy po odwróceniu kolejnej strony, nie zdarzy się nic i literatura podzieli los nudnych (bo przewidywalnych) zatrudnień. Na tym właśnie polega asymetria między naszymi oczekiwaniami a tym, co się czai za horyzontem, między naszymi pragnieniami i tym, co upragnione, między wiedzą a moralnością. Na nic tu sokratejski racjonalizm etyczny, wedle którego wystarczy wiedzieć, jak postępować, by postępować dobrze. Moralność nie tkwi w porządku wiedzy, lecz w porządku odpowiedzialności, która — jak wszelkie zdarzenie — wymyka się jakiegokolwiek antycypacji. Ścisłej zaś należałoby powiedzieć, że wpędza nas w nieusuwalną aporię: muszę wiedzieć, że coś się zdarza (jakżeby inaczej mógł o tym mówić?), ale jednocześnie nie mogę o tym wiedzieć, gdyż w porządku wiedzy nie zdarza się nic. Gdybym przelożył to aporetyczne doświadczenie

moralności na język literatury, to okazałoby się, że pisanie i czytanie są polem odpowiedzialności. Z jednej strony zmuszają mnie do podjęcia ryzyka, które nie wiem dokąd mnie doprowadzi, z drugiej zaś odsyłają do tego, co już znam, co tworzy na moją miarę przykrojony horyzont wiedzy. Zwykle powiada się, że czytanie jest albo odkrywaniem tego, co w tekście ukryte, albo wypełnianiem programu wpisanego w tekst (często używa się tu metafory partytury albo scenariusza). Podobnie mówi się o pisaniu: że jest rozwijaniem ukrytej sprawności lub kompetencją w posługiwaniu się istniejącym już kodem. W obydwu wypadkach i czytelnik, i pisarz wplątani są nieodwołalnie w jednokierunkowy przepływ: od tego, co dane z góry, do tego, co jest tylko aktualizacją. W obydwu wypadkach nie ma miejsca na zdarzenie, nie ma miejsca na aporię, nie ma miejsca na ryzyko, na próbę, w związku z czym większość literackich teorii dąży do zminimalizowania ryzyka, jakie powstaje przy czytaniu i pisaniu, a to ze względu na ich nadmierną, ekscesywną ekscentryczność. Mam wrażenie, że pozbywanie się z góry tego ryzyka oddala nas skutecznie od literatury.

Chciałbym być dobrze zrozumiany: literatura nie jest najważniejsza na świecie, nie jest jedynym sposobem na życie, nie daje też — jako jedyna — szansy zbawienia w świecie pozbawionym oparcia. Jeśli jednak ktoś — jak ja — zdecydował się poświęcić jej swoje najlepsze lata, powinien o niej myśleć serio: bez złudzeń, ale też z nadzieją, że czas ten nie został ostatecznie zmarnowany i że pisanie i czytanie nie były zamiast innego, prawdziwszego życia, lecz dały mi szansę przemyślenia (przepisania, przeczytania) paru rzeczy, bez których miałbym wrażenie, że coś mi umknęło. Zwykle literatura dawała schronienie przed nielaskawym światem i wystarczy pomyśleć, że jeśli nawet pożądanym przez nas archetypem czytelnika nie jest Emma Bovary, to jest nim z pewnością młody Marcel, który zamyka się z książką w ciemnym, chłodnym pokoju, i dla którego, jak pisał Paul de Man, „czytanie [...] zostało pomyślane jako ruch defensywny w dramatycznym pojedynku zagrożeń i gestów obronnych: jest to wewnętrzne, bezpieczne miejsce (spizarnia, pokój, kołyska), które musi bronić się przed napaścią świata zewnętrznego”. Przyznaję, że nigdy nie myślałem o czytaniu jako azylu. Nieodmiennie obcy był mi ów „ruch defensywny” wpisany w lekturę, może dlatego, że w młodości wołałem uganiać się za piłką, niż trzymać nos w książce, z dala od spraw tego (dorosłego) świata. I pewnie dlatego myśląc dziś o czytaniu i pisaniu, inaczej ustalam relację między nimi a rzeczywistością, gdyż nie potrafię traktować ich jako schronienia przed nią. Piszę i czytam nie dlatego wcale, że wewnątrz przeciwstawiam — jak Marcel — zewnątrz, że w chłodzie pokoju zapominam o skwarze letniego popołudnia. Nie ma wnętrza i zewnątrz, domu i świata, kolebki i salonu. Jest jeden ruch, w którym to samo zmagają się z tym, co inne i raz ulega mu, raz bierze górę. Dlatego przeciwko opisowi Prousta wybieram chętnie opis Barthesa, który czytelnika porównuje do kogoś, „kto — z pustką w głowie — spaceruje [...] zboczem doliny, dołem której hula ciepły wiatr, *oued* [...]; wszystko co postrzega jest wielorakie, osobliwe i pochodzi z inności substancji i odmiennych planów: światła, barwy, rośliny, skwar, powietrze, drobne hałasy, ledwo słyszalne głosy ptaków, okrzyki dzieci z przeciwległej strony doliny, przejścia, gesty, ubrania mieszkańców widziane z daleka i blisko; wszystkie te przygodności trudno rozpoznać: pochodzą wprawdzie ze znanych kodów, lecz

ich kombinacja jest zupełnie wyjątkowa i w efekcie spacer zaczyna opierać się na różnicy, której nie sposób będzie nie powtarzać jak różnicy”. Bo w istocie pisanie i czytanie opierają się na różnicy, do której powtórzenia zmierza się z każdą książką, z każdym spacerem. I jeszcze słowo o patronach tej książki. Jest ich kilku i nie muszę ich nazywać (już ich zresztą nazwałem), gdyż uważny czytelnik (a wierzę, że są jeszcze tacy na tym świecie) bez trudu ich dostrzeże. Powiem tylko tyle, że mój stosunek do nich nie jest wyznawczy, ale heretycki, gdyż w ich tekstach widzę możliwość ich zdradzenia, przepisywania na nowo, w nowym kontekście. W jednym ze swoich esejów Eco powiada tak: „Można być heglistą, nie można zaś, chyba że metaforycznie — kierkegaardystą. Mistrzowie pierwszego typu wymagają, by, podążając ich śladami, weryfikować hipotezy w celu ich udoskonalania bądź falsyfikacji. Mistrzowie drugiego typu wprawiają w zakłopotanie swoich uczniów, stawiając ich w obliczu koniecznej, a zarazem niemożliwej *imitatio magistri*, niespełnionej dopóty, dopóki nie powstanie dzieło inne od dzieła mistrza. Pracować z mistrzami pierwszego typu to wpróbowywać lokalnie ich modele, nieustannie je korygując i każdorazowo ryzykując herezją. Pracując z mistrzami typu drugiego, zawsze jest się heretykiem i nie sposób byłoby nim nie być”. Z tego powodu podtytuł mojej książki mógłby naśladować podtytuł innej książki, napisanej onegdaj przez czeskiego ucznia Husserla, Jana Patočkę. Myślę oczywiście o książce *Eseje heretyckie z filozofii dziejów*. Mojej książce chętnie nadałbym podtytuł *Heretyckie eseje o pisaniu i czytaniu*. Jeśli bowiem nie pisze się herezji, trudno znaleźć powód dla pisania w ogóle.

/ M. P. Markowski, [wstęp], „Występek. Eseje o pisaniu i czytaniu”, Warszawa 2001

Max Zweig

ALFABET ZDARZEŃ

A	jak	Albo
B	jak	Być
C	jak	Czas
D	jak	Dość
E	jak	Esencja
F	jak	Fakt
G	jak	Głód
H	jak	Hangar
I	jak	Ironia
J	jak	Jest
K	jak	Kochać
L	jak	List
Ł	jak	Łagodność
M	jak	Mieć
N	jak	Nic
O	jak	Ostateczność
Ó	jak	Ówczesie
P	jak	Pośpiech
R	jak	Rzeczywistość
S	jak	Słowo
Ś	jak	Świat
T	jak	Trawa
U	jak	Ulga
W	jak	Wybór
Y	jak	Ystad
Z	jak	Zwykle
Ż	jak	Żrenica
Ž	jak	Życie

Umarł poeta

Umarł poeta. Umarł, niestety. Jak każdy napisany wiersz...

SZKOCKI BEKON

„Był to jeden z tych chłodnych, ponurych dni, które w Szkocji mogą się zdarzyć w czasie co najmniej trzech różnych pór roku. Niebo przybrało kolor ołowiu i wiał wiatr, który ojciec Rebusa nazwałby «wisielczym». Ojciec opowiadał mu raz — a właściwie wiele razy — jak kiedyś w mroźny zimowy poranek wszedł do sklepu spożywczego w Lochgelly. Sklepikarz stał nad elektrycznym grzejnikiem. Ojciec Rebusa spojrzal na ladę chłodniczą i spytał: «Czy to bekon z Ayrshire?», na co sklepikarz odparł: «Nie, ręce sobie grzeje»”.

/ Ian Rankin, „Kaskady”

[z cyklu: zrzuty na boczny tor]

zniewolony_umysl@op.pl

ZŁANA MYŚLAMI

Jechałam dziś ulicą. Cała złana zimnymi myślami. Chmury srebrzyły się deszczem a kobiety wisiały w oknach jak gwiazdkowe dekoracje. Wszędzie pelno było przejechanych zwierząt. Nie wiem, czy śmierdziały, czy wyschły na słońcu, ale chciałam nad nimi płakać. Niestety, nigdy nie płaczę dla siebie. Płaczę chyba tylko dla mężczyzn.

Czytałam dziś zamówione książki i gazety. Tam — kraina przedwczesnych literatów. Wiersze prosto z inkubatora. Młode, dzikie, głupie i straszne. Wszystko tak jak u mnie. Roczniki będą straszyć mnie po nocach. Bić po twarzy. 81, 82, 83, 84... Topnieć, powolutku, za plecami, krok po kroczku, aż nagle skończy się epoka lodowcowa i będzie już czas stawić czoło książkom. Będzie czas ubrać się wyjściowo. A jeśli spóźnię się na pociąg, bo akurat będę jadła obiad, wszystko przepadnie.

TAM

Obok brązowego, pikowanego fotela jest stara szafka. Pamiętam ją jeszcze ze starego domu. Podobno kiedyś stała u babci. Szafka jest smutnym wspomnieniem, kiedy mój tata był dumnym intelektualistą. Stoi pod ręką, jako dowód, pocieszenie, że nie zapomniał jeszcze wszystkiego, co przeczytał, ale wieczorem częściej trzyma w ręku rzeczpospolitą niż skórzane wydanie denisa diderot. Szafka udaje, że camus jest zawsze pod ręką, ale sama najlepiej wie, że jej czas już minął. Nie wiadomo, co ją zabiło. Nikt nie oczekiwał nawet, że chociaż ich dziecko odświeży ten przypadkowy zbiór książek. Pozostałe stoją na regałach pod schodami, ale nikt nie ludzi się nawet, że to nie dekoracja. Szafka jest świadectwem dawnych zainteresowań. Stoją na niej postimpresjoniści, surrealizm, sztuka francuska w dwóch tomach, czesław miłosz — zniewolony umysl, denis diderot — zakonnica, stendhal — kroniki włoskie, guy de maupassant — dom pani tellier, wladimir nabokov — pnin, żywoty pitagorasa, liryki guillaume apollinaire, kilka cienkich książeczek j.p. sartre, camus — obcy i upadek, moje ulubione zabawki z dzieciństwa — francuskie albumy o algerii i islamie [...] wkrótce, zbudowałam z klocków lego meczet. Tata, w przelocie, zauważył zmienioną kolejność pozycji.

Tam, gdzie przeprowadzę się z Kubą, też postawię tą okropną szafkę.

O MNIE

Nazywam się Ada L. Moje teksty podpisuję pseudonimem Zniewolony Umysł, a publiczności stawiam czoło na swoim blogu. Urodziłam się 22 grudnia 1987 roku. Reprezentuję nowe pokolenie. Jeszcze nie wymyślono dla nas nazwy. Oprócz prozy tworzę też inne formy literackie, na przykład eseje. Rysuję, lepę, tnę, zwijam, kleję, drę i rzeźbię, czytam, patrzę na świat krytycznym wzrokiem.

[z cyklu: korespondencje poufne]

W.

WITAJ!

Cieszę się, że Ty to Ty, że mnie pamiętasz i napisałaś parę słów do mnie. W jednym mailu nie można opowiedzieć kilkunastu lat życia, ale postaram się to zrobić. Zacznę jednak od Ciebie.

TY

Podjeżdżałem, że mieszkasz w P. Trochę zaskoczyło mnie, że założyłaś rodzinę i masz dziecko, bo wydawało mi się, że to nie nastąpi. Ale jeżeli nastąpiło, to mogę Ci tylko pogratulować i życzyć wszystkiego najlepszego. Dzieci to wielki obowiązek, sporo nerwów, ale i wielka radość. Poza tym dziecko jest przedłużeniem naszego istnienia — nie tylko w wymiarze biologicznym, ale także humanistycznym. Ciągłe mnie zaskakujesz — nie wyobrażałem sobie, że możesz pracować na rynku usług finansowych. Podjeżdżam jednak, że to z pobudek materialnych, a nie chęci spełniania marzeń. A szczerze mówiąc, to nie wiem nawet jakie Ty studia skończyłaś. Co prawda nie jestem psychologiem, ale wydaje mi się, że trochę straciłaś ze swojego wielkiego optymizmu. Nie wytykam Ci tego — po prostu rozumiem — życie jest trudne i złożone. Wiem jednak na pewno, że wciąż drzemia w Tobie wielkie pokłady radości życia i optymizmu.

JA

Od czasu kiedy mnie znalazłaś chyba się sporo zmieniłem. Trochę się nauczyłem, trochę zdemoralizowałem, inaczej myślę, inne sprawy uważam za najważniejsze. Prowadzę niezbyt zdrowy tryb życia, oczywiście jem mięso, prawie codziennie piję piwo, ważę ponad 90 kg, na głowie pierwsze siwe włosy. Lubię oglądać Ligę Mistrzów (to piłka nożna) i słuchać muzyki (choć głównie w samochodzie). Wciąż jestem fanem U2, choć innym niż kiedyś. Jak powiedział kiedyś Bono (i jak napisałem o Tobie poprzednio) jestem tym samym, ale nie takim samym człowiekiem.

MOJA RODZINA I DOM

W 1993 roku, zaraz po studiach ożeniłem się. Moja żona A. (w Twoim wieku) jest piękną kobietą, dobrą żoną i matką i ciekawym człowiekiem. Oczywiście ma też wady. Mam dwóch wspaniałych synów — zupełnie różnych od siebie. Starszy A. (9 lat) to raczej filozof i „gapka” pod względem fizycznym, młodszy M. (6 lat) to „żywe srebro”. Co ciekawe, w październiku tego roku moja rodzina się jeszcze powiększy — mam nadzieję, że to będzie córeczka. Mieszkam w domu (zbudowałem!) na wsi pod T. (10 km do centrum). Żona nie pracuje zawodowo (choć chciałaby) — zajmuje się domem i dziećmi.

MOJA PRACA

W 1993 roku skończyłem studia. W 1994 rozpocząłem pracę w Biurze Urządzenia Lasu i Geodezji Leśnej Oddział w G. (Wydział Produkcyjny w T.). Pracuję tu do dziś. Kariera zawodowa potoczyła mi się bardzo dobrze. Szybko zostałem kierownikiem drużyny urzędzeniowej, od paru lat pełnię dodatkowo funkcję kierownika Wydziału Produkcyjnego w T. Mój dyrektor

mnie ceni, większość kolegów i podwładnych szanuje (tak myślę). Zarabiam niezłe, co umożliwia mi godne życie i realizację wielu planów. Pracę mam chyba ciekawą, choć ostatnio czuję się trochę wypalony. Praca w urzędowaniu to praca „ładowego marynarza” — co roku urządzamy inne nadleśnictwo — i często jesteśmy poza domem (zwłaszcza moi taksatorzy).

JA JESZCZE RAZ

Wszystko, co napisałem wyżej może prowadzić do wniosku, że jestem człowiekiem spełnionym i szczęśliwym. I w zasadzie jestem. Ale z drugiej strony praca zajmuje mi bardzo dużo czasu i powoduje stresy. Poza tym jak każda praca w dzisiejszych czasach nie jest wieczna i w niesprzyjających okolicznościach (zmiana prawa, zawirowania polityczne) mogę ją stracić lub moja firma może przestać istnieć. Mój piękny dom (tak myślę) jest obłożony hipoteką (kredyt!) więc przy stracie pracy mogę go stracić. Wszystko to sprawia, że mam ustawiczną świadomość niepewności i czasami czuję się jak niewolnik pieniędzy i zależności. Że sprzedałem siebie, swoją inteligencję, wiedzę i ambicje. Ale to chyba dotyka czasem każdego. A za wszystko trzeba płacić — w każdym wymiarze — materialnym i niematerialnym.

W.

PS. O kurczę. Na pisanie tego wszystkiego poświęciłem godzinę pracy zawodowej (aż mam wyrzuty sumienia). Trzymaj się ciepło.

[z cyklu: gdzie wola, tam droga]

Franciszek H. Nowicki

MEMORYALIA

„Sprawa przedstawia się jak następuje: głównym celem turystyki górskiej jest widok ze szczytu. Dla wspaniałego widoku z dzikich szczytów gór ryzykują turyści czas, koszt, trudy i niewygody w czasie uciążliwych pochodów na wierzchy, połączonych niejednokrotnie z niebezpieczeństwem życia. [...] Na żmudny pochód w górę, na równie uciążliwe zejście w dolinę odpada jednak tak znaczna część dnia wycieczkowego, że na właściwy cel wycieczki: użycie widoku na szczycie, pozostaje czas krótki, godzina do dwóch najwyżej. Obawa zamierzchnięcia w turniach przy schodzeniu w dolinę, częstokroć niebezpiecznym, spędza turystę ze szczytu nieraz prędzej nawet niż w godzinę, a przeważnie prędzej, zanim naleyście wypocząć po pochodzie zdolał. Wiadomo zaś, że zmęczenie fizyczne wpływa ujemnie na siłę i pełnię w odbieraniu wrażeń; wielki trud znieczula wrażliwość. Wypoczęty turysta widzi lepiej, spostrzega więcej, odczuwa silniej; przy nadmiernym zużyciu sił mięśniowych i nerwowych przeciwnie, zaledwie ogólne wrażenie widoku zostaje, mnóstwo momentów szczegółowych, najczęściej wspaniałych odpada, uchodzi uwagi. [...] [..] ideałem turystyki górskiej byłaby jakaś wycieczka, na której turysta, nie tracąc czasu i sił na wspinanie się i schodzenie z góry, mógłby iść samymi szczytami od rana do wieczora i mieć ciągle widok szczytowy”. / F. H. Nowicki, 5.02.1901; cyt. za: „Tatry” 3/2004, s. 74

lepiej jest wrogiem dobrego